Na początku będzie trochę prywaty… Żal mi było opuszczać cudną Sri Lankę, ale jak to mówią „ciągnie wilka do lasu”, a mnie do Indii. Chyba podobnie czuł Kumar. Grace ze swoim wewnętrznym spokojem chyba wolałaby pozostać dłużej na Sri Lance, bo przecież tam nie było takich tłumów przez jakie przyjdzie nam się przepychać, przyroda zachwycała kolorami, zapachami i obfitością gatunków, przyjaźniejsze były również temperatury od tych, których zapewne doświadczymy w Indiach. Młodzi, choć oczarowani Lanką, też czekali na spotkanie z Indiami, bo to one były pierwotnie pierwszym i jedynym celem wyprawy. A zatem z różnymi myślami w głowach pojechaliśmy na oddalone 45 minut od naszego hotelu lotnisko. I mocno się zdziwiliśmy kiedy je zobaczyliśmy. Terminal był wielkości Leclerca. Poczekalnię stanowił jakby namiot weselny czy coś w tym stylu, ale służby naziemne sprawdziły nam plecaki jak chyba nigdy wcześniej. Mnie wybebeszyli plecak podręczny, bo wydała im się podejrzana paczka chusteczek. Bez komentarza. Samolot był niewielki i w dwójnasób trzęsło nim podczas turbulencji, ale w Chennai (d. Madras) wylądowaliśmy o czasie. Trochę musieliśmy poczekać na busa zamówionego przez Kumara, którym mieliśmy dojechać do Mamallapuram. W końcu przyjechał, ale oczywiście trochę za mały jak na dwudziestopięcioosobową grupę z dużymi głównymi i niewiele mniejszymi bagażami podręcznymi. Powpychaliśmy się z manatkami do maszyny i ruszyliśmy. Do małej, nadmorskiej miejscowości Mamallapuram, albo inaczej Mahabalipuram, dotarliśmy późnym popołudniem. Brudni i spoceni. Kumar okazał się „ludzkim panem” i dał nam wszystkim wolny wieczór. Młodzi poszli więc na pierwsze zakupy (nabyli drogą zakupu tutejsze galoty i fatałaszki), załatwiliśmy sobie miejscowe karty sim i poszliśmy na kolację. Było super, wakacyjnie, na luzie. Nic nie zapowiadało tego, co miało się stać następnego dnia, kiedy to w planach mieliśmy zwiedzać świątynie i płaskorzeźby, z których słynie to miasteczko. Wyspaliśmy się porządnie, młodzi zrobili śniadanie (kanapeczki wege i dla mięsożerców), po czym uzbrojeni w butelki wody poszliśmy podziwiać zabytki architektury i figury wyrzeźbione w twardych skałach wprawnymi rękami mistrzów sprzed wieków (VII-VIII w.). W Mahabalipuram zbudowano ongiś główny port dynastii Pallawów nastawionych na handel i ekspansję morską, w związku z czym mamy tu i latarnię morską. Spacerując z naszą przewodniczką – Tosią M., zobaczyliśmy m.in. świątynię Kryszny, ogromną płaskorzeźbę Zesłanie (Narodziny) Gangesu, która ma 10 m. wysokości i 30 długości, a przedstawia moment sprowadzenia na wysuszoną ziemię rzeki Ganges jako skutek modlitw Ardżuny. Robiliśmy sobie zdjęcia z wielkim głazem w kształcie kuli, zwanym Krishna Butter Ball, który jakimś cudem nie stacza się z pochyłej skały oraz podreptaliśmy do Pięciu Wozów (Five Rathas lub Pancha Rathas) – świątyń nazwanych imionami pięciu braci Pandawów, a wykutych z jednego bloku skalnego. No i podczas wędrówki do tego ostatniego punktu wydarzyło się coś, co spróbuję opisać, choć będzie trudno… trochę zmęczeni upałem wlekliśmy się wolno za Kumarem. Dość szeroką drogę dzielił na dwie węższe ciąg krawężników, które w pewnym momencie się urywały i można było przejść na drugą część traktu. I tak skręcił w lewo nasz ciekawski Szef. Zainteresowało go to, co działo się w jednej z bram. Dźwięczały jakieś dzwonki, z megafonów leciały dźwięki muzyki. Kumar w lewo, to my (ja i kilkoro młodych) za nim. I wtedy się zaczęło. Usłyszeliśmy dźwięk strzałów. Zobaczyliśmy biegnącego i jakoś dziwnie pochylonego Dyrektora, a za nim Witka K. z obłędem w oczach. No więc my za nimi, ktoś mnie pchnął, podciął, ja runęłam, obok mnie Kamila K., tyle że ja na kolana, a ona „poszła w długą”, tj. poległa jak placuszek. Agatka Ś. też gdzieś przyhaczyła nogą. Pozbierałyśmy się i dalej pędem pomiędzy zaparkowanymi motorami. Strzały nie cichły. Za mną biegł zygzakiem Piotruś Cz. niczym zawodowy żołnierz.

Uciekliśmy na pobocze drogi. Dopiero tam sapiąc, totalnie skołowani, pytaliśmy siebie co to miało być?! Co się stało? Tymczasem strzały ucichły. Odważniej wyszliśmy na drogę, gdzie stała reszta grupy, robiąc fotki jakiejś ceremonii, której miały towarzyszyć wcześniej odpalone… PETARDY. Hindusi mieli dziwne miny patrząc na nas odrapanych i ścierających kropelki krwi z kończyn. Szybko zaczęli nas przepraszać za poczynione zamieszanie. Jak się okazało miejscowi serią kilkudziesięciu petard chcieli uświetnić jakąś fetę, a my uznaliśmy to za zamach. Zmyliło nas też to, że dopiero co godnie stąpający Kumar nagle ruszył jak Usain Bolt, a on co prawda najpierw się faktycznie wystraszył, ale szybko dostrzegł sznur petard i zrozumiał, że trzeba biec by… sfotografować coś fajnego. Dla nas sygnał typu: Wodzu pędzi znaczy: pędzimy tysz. Dodam, że my tego sznura petard nie widzieliśmy, bo były po drugiej stronie krawężnika. W każdym razie, odniesione rany okazały się bardzo powierzchowne. Dyrektor pogratulował nam sprawnie przeprowadzonych ćwiczeń z zakresu edukacji dla bezpieczeństwa i na pocieszenie za kilka chwil stresu obiecał popołudnie na plaży.

Ps. Szymon „Kula” S. stwierdził potem, że zerwałam się do ucieczki w takim tempie, że zrobiłam kilka susów w powietrzu jakbym lewitowała. Poharatani i zakurzeni wróciliśmy rikszami do hotelu. Ogarnęliśmy się szybciutko i podreptaliśmy na pobliską plażę. Matko Bosko, co to był za dzień! Rozbiliśmy się taborem obok wyciągniętych na plażę łódek i większość grupy poszła zażyć kąpieli. Jakby mocnych wrażeń tego dnia było mało, Dyrektor ZDJĄŁ KOSZULĘ i RUSZYŁ DO WODY. Skakał przez fale jak zając przez miedzę. Grace z gracją brodziła w płytkiej wodzie. Ja postanowiłam posiedzieć na plaży i „lizać rany wojenne”. Niedługo się opalałam, bo po chwili zaczęli wyłazić z wody wyprawowicze, których próbowały poparzyć z mniejszą lub większą skutecznością meduzy. Witek K. rozciął sobie skórkę na dużym palcu u nogi, Basia P. wyszła z wody z poranionym na kamolach biodrem. Z Grace odkażałyśmy, smarowałyśmy i przyklejałyśmy plasterki. Taki to był dzień. Ale na szczęście nic poważnego nikomu się nie stało. Mamy co wspominać i z czego się pośmiać. Wieczorem zjedliśmy pyszną kolację i zasnęliśmy błogo, by rankiem ruszyć w stronę Puducherry. Najbardziej cieszył się z powrotu do tego miasta o francuskim sznycie Dyrektor Fabjański. Zawsze powtarza, że lubi atmosferę tego miasta, które było kiedyś kolonią francuską (częścią Indii Francuskich), a teraz liczy około 230 tys. mieszkańców. Po zameldowaniu się w hotelu prowadzeni tym razem przez Andrzeja M. oczywiście poszliśmy zobaczyć miasto. Skierowaliśmy się do White Town, zaczęliśmy od Katedry Naszej Pani („Notre Dame”), poszliśmy pod Konsulat Generalny Francji, na nabrzeże pod monument przedstawiający Mahatmę Gandhiego, podziwialiśmy trącące francuskim klimatem zabudowania przy wąskich i mocno ukwieconych uliczkach, które ciągle oznaczone są po francusku „rue”. W końcu daliśmy młodym trochę czasu przy głównym i zamkniętym dla ruchu deptaku, by mogli skorzystać z bogatej oferty cukierni i kawiarenek. My poszliśmy na dobrą kawkę, a Grace zamówiła nawet mini ciacha. Potem poszliśmy na plażę, porobiliśmy trochę zdjęć i wróciliśmy do hotelu, by rano zjeść dobre śniadanie w pobliskiej boulangerie i pojechać do odległego Maduraju